

Z Jerzym Chanyszkiewiczem, który w ciągu ostatnich piętnastu lat przeszedł dwadzieścia tysięcy kilometrów wzdłuż polskiego wybrzeża, rozmawia Kuba Terakowski.



Fot. Grzegorz Kochmański

Skąd się wzięłeś?

Przeczytałem w jakiejś gazecie Twoje zaproszenie na Pierwszy Marszon, przyjechałem, poszedłem, przeszedłem i tak się to zaczęło...

Był rok?

2002. Trasa z Krakowa na Halę Krupową, 72 kilometry. Bo Marszon to marsz na długim dystansie, który - aby nie był zwykłą wycieczką - musi trwać przynajmniej dobę. Po drodze można oczywiście odpoczywać, lecz dłuższych przerw i noclegu nie ma. Nie ma też żadnych elementów sportowej rywalizacji, to impreza stricte towarzyska, co podoba mi się najbardziej.

Wcześniej nie chodziłeś po górach?

Chodziłem i to dużo, najchętniej po Sudetach i Bieszczadach, ale były to wycieczki jednodniowe, z kwatery lub namiotu jako "bazy wypadowej". Na Pierwszym Marszonie po raz pierwszy w życiu szedłem przez całą dobę.

I przeszedłeś całą trasę...

A nawet więcej, bo po Marszonie nie przenocowałem w schronisku. Jeden z uczestników namówił mnie na zejście na pociąg do Osielca, miało być blisko, ale nie było... Okazało się, że nasz pociąg nie zatrzymuje się w Osielcu i musieliśmy iść do Makowa. W sumie ponad 80 km...

A potem uczestniczyłeś w prawie wszystkich Marszonach...

Tak, w trzydziestu dwóch, nie byłem tylko na dwóch, których trasy dublowały poprzednie.

W PoMarszonach nie bierzesz udziału?

Nie, bo tam tempo jest szybkie, a ja nie lubię się śpieszyć. Wolę iść wolniej i pogadać, niż pędzić do mety.

Uczestniczyłeś za to w Zimakach...

Tak, w siedmiu, ale nocowałem zawsze w schronisku. Zimaki to zimowe biwaki w górach, z noclegiem pod namiotem, w jamie śnieżnej lub wprost pod mroźnym, rozgwieżdżonym niebem. Pięknie, ale zbyt ekstremalnie jak dla mnie; dlatego zawsze poprzestawałem na przejściu trasy Zimaku i ognisku na mecie, a na noc szedłem do schroniska.

Podobnie jak spora część uczestników.

No tak, nie byłem wyjątkiem, bo zawsze przyjmowałeś też zgłoszenia na ten tak zwany wariant *light* Zimaku. W ogóle uczestniczyłem w większości eskapad, które organizowałeś.

W Pielgrzymkach Niecierpliwych...

Tak, w siedmiu, w tym w tej najdłuższej, sto sześćdziesiąto kilometrowej - z Krakowa do Częstochowy, Szlakiem Orlich Gniazd - z odpoczynekami, ale bez noclegów na trasie.

W Dreptaku...

Czyli marszu wokół Krakowa wzdłuż granic administracyjnych miasta: 102 km w 24 godziny.

W Piaszczonie...

Nawet w dwóch. W roku 2010 przeszliśmy Mierzeję Wiślaną tam i z powrotem (100 km) w dobę, a w 2013 nieco wolniej. Wtedy zresztą tylko Tobie, Przemkowi i mnie udało się pokonać całą trasę, bo reszta narzuciła takie tempo idąc od Przekopu Wisły do granicy, że przypłacili to kontuzjami i z Piasków musieli wracać autobusem.

W Spacerach oraz Przechadzkach...

Tych nie zliczę... Spośród terenowych wybryków, które organizowałeś, nie byłem chyba tylko na Marszu dla Orkiestry i Borszonie.

Czyli całodobowym marszu dookoła Bornholmu.

Ale kilka lat później obszedłem Bornholm w cztery dni, też z "popiaskową" ekipą. A z Twoich imprez byłem jeszcze na dwóch Sylwestrowych Setkach.

Uczestniczyłeś też w "wybrykach", których nie organizowałem...

Tak, w Maratonie Świętokrzyskim i Kampinoskim. Na Świętokrzyski trafiłem dzięki ich uczestnikowi, którego poznałem na Marszonie. Opowiadał o Maratonach, zapraszał, więc się wybrałem. To zresztą de facto ultramaratony, bo mają kilka dystansów przekraczających 40 km. Brałem udział w dwunastu, w tym w jednej "setce" i kilku "75", ale nie biegałem, bo nie lubię. Wolę chodzić, w marszu łatwiej pogadać, niż w biegu. Chciałem też przy okazji trochę poznać Góry Świętokrzyskie, a pośpiech by temu nie sprzyjał. Przeważnie przychodziłem więc na końcu, rozmawiając z najsłabszymi.

I dodając im otuchy, skąd ja to znam... Na Marszonach zawsze eskortowałeś "tyły", i na Przechadzkach też można na Ciebie liczyć. Maja mówi, że nigdy tyle nie siedzisz, co chodząc z nią...

To prawda, nie przeszkadza mi siedzenie w marszu... (śmiech). Ale na udział w kolejnym

maratonie, Kampinoskim, namówiła mnie Ania Pyrz, która rzadko zamyka stawkę. "Zrobiłem" cztery kampinoskie "setki", mieszcząc się w dwudziestoczworgodzinny limicie czasu. A od ośmiu lat chodzę rokrocznie na dzienne "pięćdziesiątki" tych Maratonów.

Sam też organizujesz sobie "niezorganizowane" eskapady...

Tak, przeszedłem Główny Szlak Sudecki, Główny Szlak Beskidzki i Szlak Graniczny z Grybowa do Rzeszowa.

Czyli trzy najdłuższe długodystansowe szlaki górskie w Polsce.

GSB przeszedłem z synem. Wystartowaliśmy w prima aprilis, to był *hardcore*, nie zarezerwowałem noclegów wcześniej, wszystkich szukaliśmy na bieżąco, niekiedy dobrze po zmroku. Na Głuchaczkach, o dwudziestej trzeciej, przyjęła nas starsza pani mieszkająca w nieczynnym schronisku studenckim. *Nie prowadzę go już - powiedziała - za stara jestem, ale Was przyjmę, wejdźcie.* Dała nam pierzynę, wstawiła do pokoju piecyk, rano zrobiła nam śniadanie i jeszcze dała prowiant na drogę. Podobnie było w Dębnie, zeszliśmy tam, bo okazało się, że schronisko na Przełęczy Knurowskiej jest zamknięte. Dochodziła dwudziesta trzecia, dobrze, że akurat było czuwanie w kościele, gdyż kilka osób wracało stamtąd. Zapytałem młodą dziewczynę czy gdzieś tu można przenocować, bo po chałupach nie będę stukał o tej porze. Przygarnęła nas. Ja miałem już wtedy doświadczenie, lecz Marcin ograniczył przygotowania do spojrzenia na mapę. Po trzech dniach zadzwonił do domu, że chce wracać, ale nie wrócił, rozkręcił się i doszedł do końca.

Ile miał wtedy lat?

Prawie trzydzieści. Szlak Sudecki i Graniczny przeszedłem z Arturem Pomykałą. Przez pierwsze dwa dni nie widzieliśmy tam żywego ducha, trzeciego przed Barwinkiem zobaczyliśmy samotnego turystę idącego z przeciwka, okazało się, że to znajomy z Marszonów...

Tak, wiem, to był Krzysiek Ojczyk, słyszałem od niego o tym spotkaniu. Też nie widział nikogo poza Wami na tamtym odcinku.

Lubię Beskid Niski bo jest pusto. Byłem tam ostatnio z Adamem Iwańskim, przez tydzień nie spotkaliśmy nikogo.

Prowadziłeś też więźnia z Lublina do Krakowa...

Byłego więźnia, wprost po zwolnieniu. To była jedna z edycji projektu *Nowa Droga* lubelskiego Stowarzyszenia POSTIS. *Nowa Droga* to terapeutyczny marsz resocjalizacyjny, czyli piesza wędrówka dwóch osób - byłego więźnia i opiekuna - którzy wspólnie przemierzają fragment Szlaku Świętego Jakuba, z Lublina do Krakowa. Po zakończeniu wyprawy były wiezień (zawsze młody człowiek, poniżej trzydziestki) dostaje w nagrodę wsparcie w wejściu na rynek pracy oraz drobną pomoc finansową. Noclegi i posiłki na metach poszczególnych etapów - zazwyczaj w klasztorach - mieliśmy zawczasu zarezerwowane. Odwiedziłem wtedy miejsca, których nigdy bym nie mógł zobaczyć, gdyż są niedostępne dla świeckich. Pięknie, ale coś za coś, mój podopieczny - dziesięcioletni z rodziny patologicznej - opowiadał takie historie, że w głowie mi się nie mieściły. Wolałbym o tym nie mówić...

Dobrze, powiedz mi zatem skąd się wzięłeś nad Bałtykiem?

Przeczytałem Twoje relacje z dwóch pierwszych Przechadzek, spodobały mi się, więc postanowiłem spróbować. To był wrzesień 2006 roku. Trafiłem na idealną pogodę, nie spadła na mnie kropla deszczu, wiatr - jeżeli w ogóle wiał - to w plecy, a piasek był doskonale ubity. W dziesięć dni przeszedłem trasę ze Świnoujścia do Helu. Bez nawigacji, bez telefonu, miałem tylko kartę telefoniczną, bo w tamtych czasach stały jeszcze budki, z których mogłem dzwonić do domu. Kwatery znajdowałem bez problemu, z marszu, co teraz byłoby trudne.

A kiedy po raz pierwszy wybrałeś się z nami na Przechadzkę?

Trudno powiedzieć, bo przez pierwszych kilka lat zawsze startowałem ze Świnoujścia dwa - trzy dni po Was, doganiałem na trasie, szedłem kilka dni z Wami, a potem wyprzedzałem. Z pewnością jednak byłem gościem lub uczestnikiem większości Spacerów i Przechadzek.

Dziesiątki razy wędrowałeś też sam...

Byłem w sumie na siedemdziesięciu czterech wyprawach nad Bałtykiem.

Przeszedłeś blisko 20.000 km...

Dokładnie 19.620 km.

Licząc tylko trasy ponad stukilometrowe.

Tak, gdyby uwzględnić krótsze, to miałbym ponad 20.000

Niewiele Ci brakuje...

380. To się szybko zrobi... (śmiej)

Nie nudzi Ci się?

Ależ skąd! W górach zawsze jest tak samo, a nad morzem zawsze inaczej. W górach najwyżej pojawi się gdzieś nowa wieża widokowa, a nad Bałtykiem każdy kilometr jest inny. Dawniej myślałem, że nie lubię morza, w młodości najchętniej jeździłem w góry i nad jeziora. Nad morzem owszem bywałem, bo mam rodzinę w Gdańsku, ale najczęściej odwiedzałem ich latem, więc tłumy na plażach skutecznie zniechęcały mnie do spacerów po piasku.

Masz swoje ulubione odcinki?

Bardzo lubię fragment z Ustki do Rowów, wysokie klify, wąskie plaże pod nimi, niekiedy zalane i nie do przejścia, przewrócone drzewa. To chyba najbardziej urozmaicony i dynamiczny odcinek, nigdy nie wiem co mnie tam spotka. Bardzo lubię też odcinek z Rowów do Łeby i z Łeby do Białogóry, plaże są tam puste, szerokie, bezkresne.

A masz ulubione kwatery?

Chyba nie, do kwater nie przywiązuję wagi. Najczęściej przychodzę wieczorem i wychodzę skoro świt.

Właściciele kwater jednak - gdy z nimi rozmawiam - doskonale Ciebie kojarzą.

Bo najczęściej korzystam z jednych i tych samych, po co mam szukać nowych? W Białogórze zazwyczaj nocuję u pana Junga, raz nawet przyjął mnie gratis. W Rowach mam stałą "miejscówkę" u pani Wandy, a we Władysławowie - u pani Ireny, tam nocowałem nawet "po znajomości" w trakcie remontu, gdy kwatera była nieczynna; do pokoju przechodziłem wtedy po desce położonej na świeżej posadzce na korytarzu. Ale - dla odmiany - zdarzyło mi się w Jastrzębiej Górze nocować zdejmując tylko buty; był środek zimy, srogi mróz i wiatr, kwatera nieogrzewana, lecz nie miałem wyboru. Przykryłem się wszystkimi kocami, które znalazłem, nie wziąłem prysznic, nawet czapki nie zdjąłem. A raz, w Wisielce, także zimą, miałem wiadro w pokoju zamiast toalety... Takie sytuacje bardziej mnie jednak rozśmieszają, niż złością.

Zdarzyło Ci się nocować na plaży, pod chmurką?

Nie, natomiast kilka razy szedłem przez całą noc.

A masz odcinki wybrzeża, których nie lubisz?

Lubię wszystkie, ale grząski piasek na Helu potrafi mnie czasem doprowadzić do rozpaczy.

Zdarzyło Ci się zabłądzić nad Bałtykiem?

A wiesz, że tak? I to zaledwie przed rokiem. Szedłem przez las z Łukęcina do Pobierowa, szedłem i szedłem, a droga dłużyła mi się coraz bardziej... Po dwóch godzinach wyszedłem z powrotem w Łukęcinie, nie mam pojęcia jakim cudem. Na wszelki wypadek wyszedłem więc na plażę, bo tam zasady są proste: morze z lewej strony... (śmiech)

Zawsze wędrujesz z zachodu na wschód?

Prawie zawsze. Raz zabłądziłem też w Międzywodziu; wychodząc ze sklepu skręciłem w niewłaściwym kierunku, zorientowałem dopiero gdy zobaczyłem drogowskaz ze strzałką do Świnoujścia.

Nie używasz nawigacji?

Nie, a po co? Nawet na zegarek rzadko spoglądam, wiem która jest godzina gdy ludzie pojawiają się na plaży i wiem o której znikają. Wiem jakim tempem idę i ile odpoczywam. To kwestia doświadczenia. Nie liczę kilometrów na trasie, nie mam krokomierza, idę od punktu do punktu i to mi wystarcza.

Zdarzyło Ci się odkryć nad Bałtykiem coś nowego?

O, tak. Prawie za każdym razem coś odkrywam. A to wrak łodzi odsłonięty przez sztorm, a to wydmy...

Wydmy, które wydmy?

Lubiatowskie.

Lubiatowskie? Przecież tam są ścieżki spacerowe.

Zgadza się, od kilku lat. Ale gdy trafiłem tam po raz pierwszy to prowadził na nie tylko jeden ślad na śniegu, za którym zaintrygowany podążyłem. Co poza tym? Rokrocznie nie poznaję miejscowości, rozbudowują się tak szybko, że czasem własnym oczom nie wierzę. No i niestety przybywa też asfaltu, piękne leśne dukty, które pamiętam jeszcze sprzed kilku lat, mają teraz twardą nawierzchnię. Bardzo dynamiczne są też klify i wiele fragmentów plaż, gdzie raz morze potrafi sięgać linii wydm, a innym razem zostawiać pas szerokości stu metrów.

Czy są jeszcze miejsca nad Bałtykiem, w których nie byłeś?

Tak, na przykład ostatnio trafiłem w Internecie na Wydmy Orzechowskie, muszę się tam wybrać... Nigdy też nie obszedłem Jeziora Łebsko. Obszedłem Gardno, Sarbsko, Wolin, Karsibór, Wyspę Chrzęstowską, ale Łebska jeszcze nie.

Znasz też zagraniczne wybrzeże Bałtyku?

Tylko najbliższe, kilka razy szedłem z Peenemünde, byłem w Kamminke, no i Bornholm - jak już wspominałem - obszedłem dookoła. W ogóle rzadko wyjeżdżam zagranicę, bo jeszcze w tylu miejscach w Polsce nie byłem...

Widujesz czasem foki?

Tak, ale najczęściej martwe. Żywą - poza ujściem Wisły, gdzie jest ich sporo - widziałem tylko raz, w Łazach.

Pamiętam: wyszedłeś z miejscowości pół godziny po naszej grupie, my nie wiedzieliśmy jej, a Ty ją spotkałeś.

Musiła wyjść na brzeg tuż po Waszym przejściu, to kwestia przypadku.

Wolisz chodzić sam, czy z ekipą?

Na zmianę, raz tak, raz tak. Lubię i samotność, i ludzi. Lubię rozmawiać, sporo można dowiedzieć się i nauczyć. Wielu ciekawych ludzi można poznać dzięki rozmowom. Na przykład na Maratonie Kampinoskim spotkałem Wiatka Andrejczuka, rozmawialiśmy przez całe 25 godzin. Okazało się, że w ogóle nie słyszał o Marszonach, Spacerach i Przechadzkach. Namówiłem go do udziału i teraz jest ich stałym uczestnikiem; a on z kolei namówił mnie do udziału w Maratonach Świętokrzyskich. Często rozmawiam z przypadkowo spotkanymi ludźmi, nie tylko na plaży.

Ile waży Twój plecak?

Okolo pięciu kilogramów. Pamiętasz Marię, która swój osiemnastokilogramowy plecak wysłała taksówką z Ustki do Smołdzińskiego Lasu? Do dzisiaj zastanawiam się co w nim miała...

A co Ty masz w swoim?

Coś nieprzemakalnego, coś ciepłego, skarpety i bieliznę na zmianę, mały ręczniczek, przybory toaletowe, zapasowe wkładki do butów, latarkę, kubek i dużo słodczy. Ostatnio zapomniałem kanapek, zostały w lodówce na kwaterze, a szedłem z Łeby do Karwi. Przypomniałem sobie o tym pod Stilo... Uratowały mnie słodczyce.

No właśnie, krążą legendy, że na trasie jesz tylko słodczyce i popijasz colą...

Bez przesady, zimą zamiast coli mam herbatę w termosie... (śmiech). Natomiast rzeczywiście obawiam się jedzenia w knajpach na trasie, do dzisiaj pamiętam Adama, który po obiedzie w Ustroniu rozpaczliwie szukał krzaczków jeszcze przed wyjściem z miejscowości... Ale na co dzień nie żywię się *Snickersami*... (śmiech).

Jakie buty preferujesz?

Dawniej chodziłem w mocnych, wysokich, górskich, a teraz coraz częściej ubieram półbuty. Ich zaletą jest lekkość, a wadą piasek wysypujący do środka. W ogóle mam problem z butami, bo niszczy je szybko. Na mój widok sprzedawcy w lubelskich sklepach sportowych wpadają w popłoch... (śmiech). Raz zdarzyło się nawet, że nie chciano mi sprzedać butów, bo już tyle razy wcześniej wymieniałem w tym sklepie poprzednią parę. Rekordowo wymieniłem pięć par butów, a za szóstym razem oddano mi pieniądze. Miałem tak zdarte Meindl'e, czy Salomony, że odesłano mnie po protokół do Inspekcji Handlowej. I wiesz co mi napisano? Że za dużo chodzę! A do czego służą buty, jak nie do chodzenia? A innym razem, inny ekspert napisał, że przemoczyłem buty. To co? Miałem schować je do plecaka, gdy deszcz zaczął padać? Nie policzę już par, które zdarłem. Nosilem buty i najlepszych firm i... nienajlepszych. Chyba w końcu zdecyduję się na jednorazowe obuwie z Lidl'a, na jedną wyprawę, do wyrzucenia na mecie. Piasek bardzo szybko niszczy buty, ściera je jak papier ścierny.

A zdarza Ci się czasem chodzić boso?

Nie, piasek niszczy stopy podobnie jak podeszwy butów. Ale oczywiście znam długodystansowców, którzy nawet całe wybrzeże przeszli boso. Cóż, może mam delikatniejsze stopy, niż oni? W ogóle wybór optymalnego obuwia jest bardzo indywidualną kwestią.

Morsowałeś kiedyś?

Wręcz przeciwnie, na widok morsów robi mi się zimno... (śmiech)

Masz ulubioną porę roku, lub pogodę?

Unikam wakacji, ze względu na tłumy. Teraz latem byłem na Mierzei Wiślanej, ale szedłem od strony Zalewu, bo na plażach był tłok. Lubię maj, czerwiec i wrzesień, bo dni są długie, ale pozostałe miesiące też mają swój urok. A pogoda? No cóż, wolę umiarkowane temperatury, wiatr w plecy i słońce, lecz doświadczyłem już chyba każdej.

Zdarzyły Ci się jakieś nieprzyjemne sytuacje po drodze?

Tylko raz, gdy na klifie spotkałem watahę bezpańskich, wąsających się psów. Natomiast ludzie zawsze byli mi przyjaźni. Miałem mnóstwo przyjemnych przygód.

Na przykład?

Były ich setki...

To przypomnij chociaż jedną.

Szedłem z Łazów do Jarosławca, to dość długi etap. Na przedostatnim odcinku szedłem długą groblą oddzielającą Jezioro Kopań od Bałtyku, na jej końcu okazało się, że mostek nad kanałem jest zdemontowany i muszę wrócić z powrotem: kilka kilometrów po grobli, a potem kilka dodatkowych wokół Jeziora Kopań. Nie miałem siły, dochodziła godzina siedemnasta... Zagadałem do robotników kończących tam właśnie pracę przy pogłębianiu kanału. Powiedzieli, że mogą mnie przeprowadzić na drugi brzeg w łyżce koparki, jeżeli się nie boję...

Nie bałeś się?

Myślałem, że ucałuję ich w tę łyżkę... (śmiech)

Te wszystkie wyprawy musiały kosztować Ciebie majątek...

Ostatnio rozmawiałem o tym z koleżanką, okazało się, że tyle samo wydała w aptece na lekarstwa, co ja zapłaciłem za kwatery. A ja żadnych leków nie biorę, ruch i powietrze zastępują mi wszystkie. Rachunek jest więc prosty, a premią dla mnie jest pobyt nad Bałtykiem. Ostatnio czytałem wywiad z lekarzem, który stwierdził, że 10% zdrowia zależy od genów, 10% od lekarzy, a reszta jest w naszych rękach. Czyli - w moim przypadku - w nogach... Zamiast do lekarzy, chodzę więc po plaży... (śmiech)

Twoja najdłuższa wielodniowa wyprawa to...

Główny Szlak Beskidzki, nieco ponad pięćset kilometrów, chociaż ze Świnoujścia do Piasków było niewiele mniej. Bo zazwyczaj wyprawy ze Świnoujścia, kończę w Helu, lecz raz postanowiłem dojść do samych Piasków.

A najdłuższa wyprawa jednodniowa?

Piąta Pielgrzymka Niecierpliwych: 165 kilometrów z Krakowa do Częstochowy Szlakiem Orlich Gniazd. Nie wiem tylko czy można ją nazwać jednodniową, skoro trwała dwie doby.

I była to też najtrudniejsza z Twoich wypraw?

Tak, szczególnie druga noc marszu, niewyobrażalna senność i zmęczenie. Pamiętam jak idący przede mną Jacek przewrócił się i zasnął w marszu.

A ja pamiętam jak Ty zasypiałeś i wchodziłeś w krzaki...

Ty też się przewróciłeś...

Tak, ale siedząc na krawężniku, więc potłukłem się nieco mniej.

Z ośmiu osób, które wyruszyły wtedy z Krakowa, do Częstochowy doszliśmy we czwórkę, jeszcze z Magdą Łyko. Miałem ochotę Ciebie udusić, gdy na przystanku tuż za granicą miasta, skąd na poprzednich Pielgrzymkach jeździliśmy do centrum miejskim autobusem, powiedziałeś, że tym razem idziemy aż na samą Jasną Górę.

Ależ uprzedzałem o tym od początku!

Chyba nikt w to nie wierzył. O mało się wtedy nie poddałem i nie wsiadłem do autobusu.

A zdarzyło Ci się kiedykolwiek poddać na trasie?

Na Ósmym Marszonie pokonała mnie pogoda. Przez kilkanaście godzin od startu szliśmy w ulewnym deszczu, było zimno, wszystko miałem przemoczone na wylot. Przed startem, widząc prognozy pogody, pożyczyłem od kolegi dwie znakomite nieprzemakalne kurtki, po paru kilometrach mogłem je wyżymać... Na pięćdziesiątym kilometrze weszliśmy wszyscy do knajpki w Myślenicach; gdyby nie to, gdybym szedł z rozpędu dalej, to może doszedłbym na Kudłaczce. Ale w tej knajpce poddałem się, zresztą podobnie jak większość spośród tych, którzy nie zrezygnowali już wcześniej. Pamiętam jak kolega odstąpił mi pierogi, nie mógł ich zjeść, bo tak trzęsły mu się ręce. Wiedziałem, że na Kudłaczach nie wysuszę się, a nazajutrz musiałbym w mokrych ciuchach wracać do Lublina, przystanek mikrobusów był przed knajpką, rozsądek zwyciężył... Potem dowiedziałem się, że na 70 osób, które wystartowały z Hali Krupowej, na metę na Kudłaczach doszło tylko 20, z których 15 skróciło sobie trasę, więc - jak widać - nie ja jeden uległem. Chociaż Ty - jeżeli dobrze pamiętam - byłeś wśród tych pięciu niezłomnych.

Tak, byłyby nas szóstka, ale na ostatnim etapie musieliśmy wezwać GOPR do dziewczyny, która chyba zatrzała się w tej knajpce...

Raz zrezygnowałem też nad Bałtykiem. W roku 2007, po sukcesie sprzed roku, stwierdziłem, że skoro wtedy tak beztrudnie przeszedłem się ze Świnoujścia do Helu w dziesięć dni, to teraz mogę pokonać ten dystans w tydzień. Ale okazało się, że warunki i forma nigdy nie są takie same. Wiał wiatr, fale sięgały daleko w głąb plaży, musiałem przed nimi uciekać, piasek był grząski... Po dobie marszu złapał mnie taki ból, że z trudem dowlokłem się do Kołobrzegu. Plaża dała mi po nosie i nauczyła pokory.

Ale potem udało Ci się przejść ze Świnoujścia do Helu w tydzień...

Tak, najszybciej w sześć dób. Dób, gdyż wtedy szedłem także nocami. Nie planowałem tego jednak zawczasu, zdecydował przypadek: raz i drugi nie udało mi się znaleźć noclegu, więc szedłem dalej, przez całą noc i kolejny dzień, aż do następnego wieczoru.

Przeszedłeś wtedy przez Poligon?

Nie, musiałem iść dookoła. Z Jarosławca do Ustki szedłem plażą tylko raz: na Suplemencie, który kiedyś zorganizowałeś. A, przypomniałem sobie, że o mało co nie poddałem się też na Dreptaku. Złapał mnie taki ból mięśnia, że nie mogłem się ruszyć. Siadłem na przystanku, podjechał miejski autobus do centrum Krakowa, już chciałem wsiąść... I wtedy powiedziałeś: *Jurek, za nami 90 kilometrów, zostało 12, dasz radę.*

I dałeś radę...

Tak, chociaż nie rozdawałeś ani medali, ani dyplomów. To było 12 bardzo długich kilometrów. Pamiętam, że przede mną cały czas kuśtykał Sebastian z odparzonymi nogami. Doprowadziłeś

nas na dworzec. Bilet kupiłem w pociągu, bo nie miałem siły iść do kasy. Potem nie mogłem wysiąść w Lublinie, ale na szczęście spotkałem sąsiadkę, która mi pomogła. Lubię kończyć. I nie ja jeden, do dzisiaj pamiętam dwóch dorosłych facetów na mecie Marszonu, którzy z radości krzyczeli do telefonu, że są w schronisku. Cieszyli się jak dzieci, bo nikt z ich znajomych nie wierzył, że dojdą.

A co robisz, kiedy nie chodzisz?

Co robię kiedy nie chodzę? Ależ ja cały czas chodzę! Codziennie wychodzę z domu na trzy - cztery godziny. Do lasu mam blisko, nad zalew niewiele dalej, mam kilka swoich ulubionych tras w pobliżu domu. Kiedyś miałem psa, uwielbiał łązić ze mną, ale po powrocie nie mógł się ruszyć z posłania. Teraz łążę sam. Nie mogłem wytrzymać, gdy ostatnio przeziębilem się tak, że przez dwa dni nie mogłem wyjść na zewnątrz. Na szczęście moja własna mikstura szybko wybawiła mnie z opresji.

Mikstura? Zdradz jej składniki.

Cebula, czosnek, miód, imbir. Ma ohydny smak, lecz jest bardzo skuteczna. Polecam wszystkim, chociaż... nie polecam nikomu... (śmiech)

Pracujesz jeszcze?

Nie, nie pracuję. Gdybym pracował, to pewnie miałbym więcej pieniędzy, lecz nie miałbym czasu na chodzenie. Mógłbym tylko chodzić po sklepach i wydawać pieniądze. I co? Może miałbym większy telewizor, przed którym siedziałbym po pracy... Najważniejsze w życiu jest nie to, co posiadamy, lecz kogo spotkamy.